ZAPOMNIANY WALC

• ANNE ENRIGHT •

Premiera: 6 kwietnia 2017

Wydawnictwo Wiatr od Morza

{ fragment 1 }

Gdyby nie dziecko, żadne z tych wydarzeń pewnie by nie nastąpiło. Fakt, że wplątane w nie zostało dziecko, sprawił jednak, iż znacznie trudniej było wszystko wybaczyć. Nie żeby było co wybaczać, oczywiście, ale to, że we wszystko wmieszano dziecko, sprawiło, że czuliśmy, iż nie ma już odwrotu. Że to miało znaczenie. Fakt, że dotknęło to dziecka, sprawił, iż musieliśmy stanąć ze sobą twarzą w twarz, musieliśmy doprowadzić wszystko do końca.

Gdy to się zaczęło, miała dziewięć lat, ale to nie ma wielkiego znaczenia. To znaczy, jej wiek nie ma wielkiego znaczenia, bo zawsze była inna – czy tak się mówi? Oczywiście, wszystkie dzieci są wyjątkowe, wszystkie dzieci są piękne. Zawsze myślałam, muszę przyznać, że Evie jest trochę dziwna, ale też, że inna w staromodnym znaczeniu tego słowa. Było w niej jakieś zabawne, nietypowe piękno. Chodziła do zwyczajnej szkoły, ale nawet na tym etapie panowała wokół niej jakaś ambiwalencja, uczucie niedopowiedzenia. Nawet lekarze – szczególnie lekarze – wyrażali się oględnie. Mówili: „poczekamy, zobaczymy".

Otaczało ją zatem wiele niepokoju – według mnie zbyt wiele, bo była też przecież uroczym dzieckiem. Gdy poznałam ją lepiej, zauważyłam, że potrafi być marudna albo samotnicza; zwątpiłam w jej szczęście. Kiedy jednak miała dziewięć lat, myślałam o niej, że jest piękną, czystą osóbką. Jakby darem.

Gdy zobaczyła, jak całuję jej ojca – i gdy zobaczyła, jak jej ojciec całuje mnie, w swoim własnym domu – roześmiała się i zatrzepotała dłońmi. Wysoki, niemożliwy do zapomnienia okrzyk. To był śmiech, jak później pomyślałam, wynikający z faktu, iż zrozumiała, co widzi, ale i z przekory, czy z czegoś podobnego – może złośliwości. Jej matka, która była tuż, na parterze, zawołała: „Evie? Co ty tam robisz?", co sprawiło, że mała obejrzała się przez ramię. „No już, schodź".

Jakieś cudowne działanie zdawkowego, opanowanego głosu matki kazało Evie sądzić, że wszystko jest w porządku, mimo tego, iż całowałam jej ojca. I to nie pierwszy raz – choć teraz myślę o tym jako o pierwszym prawdziwym razie, pierwszym oficjalnym wydarzeniu naszej miłości, w dzień Nowego Roku 2007, gdy Evie wciąż, w gruncie rzeczy, była jeszcze dzieckiem.

[...]

Poznałam go w ogrodzie mojej siostry w Enniskerry. Tam zobaczyłam go pierwszy raz. Nie było w tym nic z przeznaczenia, choć we wspomnieniach dokładam światło późnego lata i pejzaż. Widzę go na skraju ogrodu mojej siostry, po południu, w chwili, gdy zaczyna gasnąć dzień. Może o wpół do szóstej. Jest wpół do szóstej w letnią niedzielę w Wicklow, gdy widzę Seána po raz pierwszy. Stoi w miejscu, gdzie granica ogrodu mojej siostry staje się nieokreślona. Zaraz się odwróci – ale jeszcze tego nie wie. Patrzy na pejzaż, a ja patrzę na niego. Słońce jest piękne, wisi nisko nad horyzontem. On stoi tam, gdzie stok zaczyna łagodnie opadać ku brzegowi, światło świeci mu w plecy i jest właśnie ta pora dnia, w której kolory nabierają życia.

Rozgrywa się to kilka lat temu. Dom jest nowy, jesteśmy na parapetówce u mojej siostry, na pierwszej imprezie, kilka miesięcy

po tym, jak się wprowadzili. Pierwszą rzeczą, którą zrobili, była otwierająca widok na morze rozbiórka drewnianego płotu, podwórko wygląda więc teraz jak wyrwany ząb w rzędzie nowych domów, narażone na wschodnie wiatry i ciekawskie krowy. Popołudniowa scenografia szczęścia.

Zaprosili nowych sąsiadów, starych znajomych i mnie. Jest kilka skrzynek wina i grill, który wpisali na listę prezentów ślubnych, ale ostatecznie kupili sami. Grill stoi na tarasie, jest zielony i ma obrotową pokrywę wielkości wiadra, a mój szwagier Shay – chyba nawet ubrany w fartuch – macha drewnianymi szczypcami nad stekami z jagnięciny i udkami kurczaka, wolną ręką zaś wysoko w powietrzu otwiera z trzaskiem puszki piwa.

Fiona wciąż spodziewa się, że będę jej pomagać, bo jestem jej siostrą. Niosąc stos talerzy, mija mnie i obrzuca ponurym spojrzeniem. Nagle przypomina sobie, że też jestem gościem i proponuje mi chardonnay.

– Tak – mówię. – Bardzo chętnie, dziękuję. – Gawędzimy jak dorosłe osoby. Nalewa mi wina do kieliszka rozmiarów basenu.

Gdy o tym myślę, chce mi się płakać. To musiało być w 2002 roku. Oto ja, świeżo po trzech tygodniach spędzonych w Australii, po prostu zwariowana – zwariowana! – na punkcie chardonnay. Megan, moja siostrzenica, musiała mieć cztery lata, a mój siostrzeniec prawie dwa – fantastyczni mali bałaganiarze, patrzący na mnie jakby w oczekiwaniu na jakiś żarcik. Do nich też przyszli koledzy i koleżanki. Trudno policzyć, ile dzieci biega dookoła – chyba je klonują w łazience na dole. Kobieta za każdym razem wchodzi tam z jednym maluchem i wychodzi, trzymając dwoje.

Siedzę przy szklanej ścianie oddzielającej kuchnię od ogrodu – to naprawdę ładny dom – i obserwuję życie mojej siostry. Matki krążą wokół stołu, na którym wystawiono jedzenie dla dzieci, na zewnątrz mężczyźni popijają drinki i popatrują ku niebu, jakby sprawdzali, czy będzie deszcz. W końcu zaczynam rozmawiać z kobietą, która siedzi obok talerza z czekoladowymi ciastkami Rice Krispies i zjada je po kolei z niejakim roztargnieniem. Na

wierzchu mają miniaturowe bezy. Już ma włożyć kolejne do ust, ale nagle cofa rękę z zaskoczeniem.

– Ooo, różowa!

Nie wiem, na co wtedy czekałam. Conor, mój chłopak, pewnie kogoś odwoził albo po kogoś pojechał. Nie pamiętam, dlaczego jeszcze go nie było. To on siadał za kółkiem. Zazwyczaj tak robił, bym mogła coś wypić. Muszę powiedzieć, że był to jeden z pozytywów, jeśli chodzi o Conora. Teraz to ja prowadzę. Choć to również pewien postęp.

I nie wiem, dlaczego zapamiętałam czekoladowe ciastka, chociaż słowa „Ooo, różowa!" wydawały mi się wtedy najśmieszniejszymi, jakie kiedykolwiek usłyszałam. Obie aż osłabłyśmy ze śmiechu – i ja, i bezimienna sąsiadka mojej siostry. Ją szczególnie tak skręcił atak wesołości, że nie było wiadomo, czy złożyła się w pół ze śmiechu, czy przez atak wyrostka. W trakcie tego wszystkiego wydawało się, jakby zsuwała się z krzesła. Stoczyła się na bok, a ja patrzyłam na nią i śmiałam się. Ona zaś wystartowała nagle i popędziła pochylona, przez przeszklone drzwi, w kierunku mojego szwagra.

Dopadło mnie zmęczenie po długim locie.

Pamiętam, jak to dziwnie wyglądało. Kobieta galopowała prosto na Shaya, a on sobie grillował; skwierczące mięso, płomienie, w mojej głowie myśl: „Czy to noc? Która to w końcu godzina?". Na ustach zasychało mi czekoladowe ciastko. Kobieta pochyliła się, jakby chciała walnąć Shaya w piszczel, po czym wyprostowała się, trzymając w rękach małe, zaskakująco ruchliwe dziecko i mówiąc: „Nie wchodź tam, dobrze? Nie wchodź tam!".

Dzieciak rozglądał się, nie zwracając zbytniej uwagi na gwałtowną zmianę scenerii. Miał trzy, może cztery lata. Postawiła go na ziemi i zamierzyła się. Tak mi się przynajmniej wydawało. Uniosła rękę, a potem gwałtownie ją cofnęła, jakby chciała odpędzić osę od twarzy.

– Ile razy mam ci mówić?

Shay uniósł i otworzył piwo, dziecko gdzieś pobiegło, a kobieta stanęła w miejscu i poprawiła włosy roztargnionym ruchem ręki.

To jedna rzecz. Ale były też inne. Była Fiona, z wypiekami na policzkach i oczami nagle zwilgotniałymi, w czystym uniesieniu spowodowanym nalewaniem wina i śmiechem, byciem piękną matką łamane przez gospodynią w pięknym nowym domu.

No i był Conor. Mój ukochany, który się spóźniał.

Jest rok 2002, nikt z nich nie pali. Siedzę sama przy stole w kuchni i rozglądam się za kimś, z kim mogłabym porozmawiać. Mężczyźni w ogrodzie nie wydają się bardziej interesujący niż na początku. Noszą koszule z krótkimi rękawami, a ich sportowe spodnie na kilometr biją w oczy wyprasowanymi kantami. Właśnie wróciłam z Australii. Przypominam sobie facetów biegających w porze lunchu wzdłuż nabrzeża w Sydney. Niekończący się rządek biegnących mężczyzn, opalonych i wysportowanych, za którymi można by zawrócić i podążyć, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, tak samo jak można podnieść cholerne czekoladowe ciastko i nie zdawać sobie sprawy, że się je zjada, dopóki nie spostrzeże się bezy na wierzchu.

– Ooo, różowa!

Naprawdę muszę już zapalić. Fiona poinformowała mnie, że jej dzieci od bardzo dawna nie widziały papierosa na oczy. Megan wybuchła płaczem, gdy elektryk zapalił w domu. Ściągam torebkę z oparcia krzesła, powoli przechodzę przez próg, mijam Shaya, który macha do mnie plastrem mięsa, idę między spłowiałymi w deszczu trójkołowymi rowerkami i wesołymi mieszkańcami przedmieść aż do miejsca, gdzie jarzębina Fiony stoi przytroczona do kwadratowego słupka, a ogród przeobraża się w zbocze wzgórza. Stoi tam dziecięcy domek z bali, tak naprawdę sklecony z brązowego plastiku, całkiem obrzydliwy – bale wyglądają sztucznie, równie dobrze mogłyby być zrobione z czekolady albo jakiegoś gówna oblanego gumą. Chowam się za to coś. Jestem zajęta sprawianiem wrażenia, że robię coś niewinnego. Opieram się o płot, wygładzam spódnicę, ukradkowo szperam w torbie w poszukiwaniu fajek i dostrzegam go dopiero po zapaleniu papierosa, widzę go więc pierwszy raz (w tej historii, którą opowiadam sobie o Seánie) z początkiem pierwszego długiego

wydechu, a jego ciało, jego kształt na tle pejzażu rozmywa dym z bardzo spóźnionego marlboro light.

Seán.

Przez chwilę jest wyłącznie sobą. Zaraz się odwróci, ale jeszcze tego nie wie. Obejrzy się i zobaczy mnie, tak jak ja widzę jego, a potem, przez wiele lat, nic się nie wydarzy. Nie ma powodu, by się wydarzyło.

Naprawdę mam wrażenie, że jest noc. Światło jest cudowne i niewłaściwe – tak jakbym musiała obrócić w głowie całą planetę, by dotrzeć do tego ogrodu, do tej popołudniowej godziny i do tego mężczyzny, nieznajomego, obok którego teraz śpię.

Posłuchaj „ścieżki dźwiękowej”
do tej książki!

Wejdź na stronę:
www.wiatrodmorza.com/playlista

Wiatr od morza to…

zapach kanadyjskich lasów
gwar angielskich portów
piaski Afryki
ostra woń chłodnego, arktycznego powietrza
okrzyki rybaków zarzucających sieci
smak soli w ustach

wiatr
od morza

…gdańskie wydawnictwo założone przez Michała Alenowicza, miłośnika książek i tłumacza literatury anglojęzycznej.

Wyszukujemy dla Państwa wyjątkowe i wręcz magiczne książki – prawdziwe rarytasy światowej literatury. Nieraz są to zapomniane i nigdy nie tłumaczone na język polski dzieła, nagradzane przed laty prestiżowymi nagrodami, innym razem niezwykłe powieści wciąż nieodkrytych w Polsce pisarzy młodego pokolenia. Lubimy wyobrażać sobie, że sprowadzając je do Polski stajemy się niczym dawni gdańscy kupcy, zaopatrujący niegdyś kraj w egzotyczne przyprawy i drogie tkaniny. Niech i dziś z prastarego nadbałtyckiego portu płynie to, co dodaje życiu smaku – wyjątkowa, poruszająca wyobraźnię literatura na najwyższym poziomie.

fot. Magdalena Alenowicz

www.wiatrodmorza.com